

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Wzór do rysunku

BOLESŁAW KRZYWOUSTY,

OBRAZEK SCENICZNY.

Przez **M . . a.**

(Scena przedstawia komnatę królewską, w której bawią się dwaj chłopcy, chorążyc i starościc, towarzysze zabaw Krzywoustego).

CHORAŻYC *(zapalczywie)*.

Kiedy stać każe, jak mur stój! spokojnie!
Z krnąbrnym żołnierzem nieszczęście na wojnie!

STAROŚCIC *(trochę gapiowato)*.

Czemuż mam zawsze być tylko żołnierzem?!
Ja chcę też wodzem być, wielkim rycerzem!

CHORAŻYC.

Wodzem! ty wodzem!? to ja nim być muszę!

STAROŚCIC.

Ja chcę!...

CHORAŻYC *(gwałtownie)*.

Milcz! albo, wystraszę ci duszę!...

BOLESŁAW *(wchodząc spokojnie)*.

Co to za krzyki? W co wy się bawicie?

CHORAŻYC.

W wojnę!

STAROŚCIC *(skarżąc się)*.

On wodzem chce być całe życie!...

CHORAŻYC.

Tak! bom ja świadom, jak sprawia się szyki!

STAROŚCIC *(skarżąc się)*.

On wódz! z wodzostwa on zna tylko krzyki!

CHORAŻYC *(gwałtownie, szydząc)*.

Wódz on! patrzcie! ot wódz! zmokła kura!

STAROŚCIC.

Wrzeszczeć potrafi pachołek i ciura!

CHORAŻYC *(biorąc się w boki)*.

Sądź, królewiczu, kto lepszy na wodza?

STAROŚCIC.

Sądź, królewiczu! na sądy się zgodzę.

BOLESŁAW.

Dobrze; tak siadę, jak ojciec na rynku,
Na sąd; wy stańcie porządnie w ordynku.

(Bolesław zasiada poważnie w wielkim królewskim krześle, dwaj chłopcy stoją po obu jego stronach).

BOLESŁAW

Mości starościc! słuchamy, staw sprawę.

STAROŚCIC.

Oto chorążyc w wojenną zabawę
Nigdy mi wodzem zostać nie pozwoli!
Ciurą mię czyni, by łajać dowoli!

BOLESŁAW *(do chorążycy)*.

Aby sąsiady nie rwali nam ziemi,
Musim my doma być zawsze zgodnemi;
Czemuż raz jeden, a drugi raz drugi,
Nie ma być wodzem z wojennej zasługi?

CHORAŻYC.

Bo on na wodza nic nie ma zdolności!
Ciura jest! ciura!

STAROŚCIC *(drwiąc, ale zawsze gapiowato, wskazuje chorążycy)*.

Wódz skacze ze złości!

BOLESŁAW.

Kiedy się sami bawicie bezemnie,
Zawszeż tak w kłótniach czas schodzi daremnie?

(do chorążycy).

Zawsze tyś wodzem? żołnierzem ni razu?...

(do starościca).

Zawsze tyś żołnierz? i słuchasz rozkazu?...

(Obaj chłopcy przyznają gestami i skłonieniem głowy; zasłona bogata poza krzesłem królewskim podnosi się i ukazuje się król Władysław Herman, schorzały, wsparty na kij, staje i słucha niepostrzeżony).

BOLESŁAW *(po nanyśle)*.

Owóż, gdy rzecz tę w rozumie rozbierzem..

(do chorążycy).

Zły wódz, kto nigdy nie był żołnierzem!

(do starościca).

Ale służebność, gdy ducha przytłumi,
Ciura, kto wództwa się dobić nie umie!

(wstaje z krzesła w dumnej postawie, z ręką wspartą na szabelce).

KRÓL.

Dobrze, mój synu! lecz bacz, Bolesławie,
Sensu tej mowy nie tylko w zabawie!

(Bolesław pomaga ojcu zasiąść na krześle).CHORAŻYC *(z cicha szemrze odstępując)*.

Łatwo to królom mieć słuszość przed gminem.

STAROŚCIC *(tak samo)*.

Jużci nie ciurą, kto króla jest synem.

KRÓL *(do wojewody Sieciecha, który wchodzi)*.
Co tam, Sieciechu?...

SIECIECH.

Przybyli już gońce,
Czechy wtargnęli!

KRÓL.

Nim wejdzie znów słońce,
Bierz, wojewodo, gotowe już szyki,
Z łanów morawskich, idź, spędź najezdźniki.
Chciałem sam jechać, lecz chorym jest srodze,
Prowadź i zwycięż, niech Bóg ujmie wodze,
Zanim za czasem ten wodzem zostanie.

(wskazuje Bolesława).

BOLESŁAW.

Stój, wojewodo! — Mój ojczel! mój panie!

(kłęka przed królem).

Baczyć kazałeś mi własne me słowa,

Oto je spełniać sposobność gotowa:

Pozwól niech jadę na wojnę z Sieciechem,

Prosto, jak żołnierz, niech walczę ja z Czechem;

Aby się uczył być wodzem zawczasu!

KRÓL.

Dziecko! idź igrać, na łowy, do lasu.

BOLESŁAW.

Pozwól, o pozwól, mój ojczel, mój królu!

Ujdęz tu w domu, czy śmierci, czy bólu,

Jeśli mi wola je Boska przejrzała?

KRÓL.

Idź w imię Boskie! cześć Bogu i chwała!

Podać mi miecz mój, i tarczę, i zbroję,

Niechaj rycerzem w świat puszczyć krew moję.

*(Dwaj chłopcy zdejmują ułożone na ścianie poza królewskiem krzesłem części uzbrojenia i podają Sieciechowi, który królowi**je z kolei podaje. Król wypełnia obrzęd pasowania na**rycerza).*

KRÓL.

Hełmem rycerskim ozdabiam ci skronie,

(kładzie hełm Bolesławowi)

Czynięć rycerzem w ojczyzny obronie,

(uderza go trzykroć mieczem w ramię).

I pocałunek rycerski ci daję,

(całuje Bolesława).

Broń, uszczęśliwiaj, i kochaj twe kraje;

Zacność twém prawem, waleczność ozdobą.

Idź! i powracaj zwycięzcą, Bóg z tobą!

*(Bolesław wstaje z kolan, Sieciech wkłada mu zbroję, przypasa mu miecz, przypina złote ostrogi, i tarczę podaje. Bolesław jeszcze raz przykłęka dla ucałowania ręki ojca, poczem**idzie przed Sieciechem ku drzwiom, ale wychodząc mówi**jeszcze do dwóch chłopców półgłówno).*

BOLESŁAW.

Teraz ujrzycie, jak słucha żołnierzem

Ten, kto ma z czasem być wodzem-rycerzem!

TRZY ŁZY.

Wspomnienie z pielgrzymki do Częstochowy.

(Dokończenie).

I nie było: bracia i przewodnik nasz napracowali się doprawdy ciężko przez tę drogę, ale koniec końców utrzymali ludzi w posłuszeństwie temu jakiemuś „prawu”, które ludziska kompaniami pielgrzymujący sami widać na siebie nałożyli, przekonawszy się, że w bezprawiu istnieć nie można, a mimo to próbują się z pod prawa tego wyłamywać. Wszystkie przestanki i noclegi przewodni-

czący miał jakby wydrukowane w pamięci, i wysyłał zawsze braci naprzód z pieniędzmi składkowymi i z instrukcyami.

Nocowaliśmy rozmaicie, bardzo wielu i pod gołém niebem, ale dla innych był zawsze jakiś kątek pod dachem i dla mnie też zawsze był wraz z Wojciechową, jej córką i ciotką, a pamiętali już o tém sam przewodniczący i bracia, może się wprzód ułożyli o to Wojciechowicie.

Parę kobiet siadało czasem na wóz, jadący za nami, ja przecież nie wsiałam ani na chwilę. Z daleka ujrawszy wieżę Częstochowską, ukłękliśmy wszyscy, a mnie serce zaczęło tak bić, jakbym zachorować i upaść miała; jednak i to minęło. I siódmego Września o południu przybyliśmy na miejsce.

Przy figurze stojącej po drodze spotkał nas ksiądz Paulin z klasztoru Jasnogórskiego, bo już nas tam poprzedzili bracia i oznajmili nasze przybycie. Naokoło, po całej okolicy przed Częstochową, lud zaległ obozowiskami, jak okiem można było zajrzeć, bo już miejsca w mieście nie było.

My na ostatnim spoczynku, już bardzo blisko Częstochowy, wszyscyśmy się świeżo umyli, uczesali i ubrali. Kilka dziewcząt wtedy, z wielkiem mojem zdumieniem, nagle dobyło strojów z pakunków na wozie i ukazało się w bieli, w zasłonach, w wieńcach i z rozpuszczonemi włosami, tak, jak na Boże-Ciało. Aż krzyknęłam i pożałowałam, że tak być ubraną nie mogę. Słyszając to, natychmiast dziewczynki te poszeptały ze sobą i zbliżywszy się do mnie; prosiły, żebym wybrała sobie z ich świeżych strojów te, które mi się spodobały i najwłaściwsze dla mnie będą i żebym zajęła w procesyi miejsce której z nich, bo każda mi go chętnie ustąpi. Zawstydziłam się okropnie za moje dzieciństwo to nowe, bo czyliż zbliżając się do Częstochowy, do miejsca uświęconego tylu różnorodnemi wspomnieniami religijnemi i historycznemi, nie jest wstydem myśleć o rzeczy tak blahéj, jak strój?.. Dziewczynki owe, towarzyszki mojej wędrówki, dały mi prawdziwą naukę i dotkliwą, choć się tego nie spodziewały. A jednak z pozoru niby to one mniej starannie wychowane były odemnie.

Zdjęła mię taka pokora, że uściskałam je wszystkie z kolei, głośno wypowiadając, co myślałam, a stroju odmówiłam; w końcu rozplakałyśmy się wszystkie, ściskając się, bo wszystkie byłyśmy coraz bardziej wzruszone. Potem one wzięły chorągwie i obrazy, my wszyscy stanęliśmy w porządku za niemi, muzyka na przedzie, pieśń wspaniała rozległa się, i tak procesjonalnie szliśmy już śpiewając przy muzyce, środkiem obozujących tłumów, aż do owej figury. Przy figurze ksiądz Paulin, wyszedłszy naprzeciw nas, jak już mówiłam, miał

do nas mowę, witając nas na świętym miejscu, tłumacząc cel i znaczenie takich pielgrzymek, powiadając, z jakim usposobieniem przystępować się do kościoła godzi, i jakie duchowe korzyści z pielgrzymki naszej możemy i powinniśmy odnieść. Skończywszy mówić, wprowadził nas do Częstochowy, przeszliśmy potem wzgórze, bramy, wały, kościół i nareszcie prawie nieprzytomna upadłam wraz z wszystkimi na twarz... na miejscu, do którego od lat tylu tęskniłam i z tak daleka dążyłam.

Co się ze mną działo, nie rozumiem; już w kilka godzin później ciągle drżałam i łzy miałam w oczach od chwili owych uścisków z dziewczętami; czemu? nie wiem doprawdy, bo przecież dwa razy byłam poprzednio w Częstochowie, raz nau-myślnie, a drugi raz przejeżdżając i nigdy podobnie wielkiego nie doznawałam wzruszenia. Czyby to długie przygotowanie się pieszą ową pielgrzymką, te wspólne nieustanne przez drogę śpiewy, czyżby to potęgowało wzruszenie?... dość, że mało wiedziałam prawie, co się wkoło mnie dzieje, modląc się tylko ciągle pocichu.

Wojciechowie musieli mieć tam dużo znajomych, bo stanęliśmy pod dachem, chociaż wcześniej przybysze koczowali pod gołym niebem od dni kilku. I z zakrystyanem, nie już znajomością, ale pokrewieństwem mają Wojciechowie i z tej przyczyny ja należałam do tej małej liczby przybyłych, którzy znajdowali się na całym nabożeństwie obecni, w samą też kaplicy Matki Boskiej.

Z drżeniem dziwnym, które nie opuszczało mnie i tam, klęczałam właśnie, modląc się, nie wiem sama jak, bo nie z książki i nie wyrazami, choć myśl miałam jedynie ku niebu zwróconą, gdy wtém uklękała tuż koło mnie jakaś pani, z ruchu i z czegoś nieokreślonego tak do mamy podobna, że o mało z kolan nie zerwałam się na jej widok, i wszystkie zmartwienia, jakich przyczyniłam mamie w życiu, stanęły mi żywo w oczach... Nagle pani owa, nachylona przez chwilę ku samej posadzce, podniosła głowę, a ja, nachylona także w ową chwilę, ujrzałam trzy łzy wielkie jak perły na tém miejscu, nad którym chyliły się przed chwilą jej oczy... zdawało mi się w jakimś dziwnym złudzeniu, że to mama wypłakała te trzy łzy nad memi trzema głównymi wadami, na jakie nieraz się skarżyła i... wybuchnęłam w głos płaczem...

Ale niejedyn tam tak płakał, płacz i głośne modły z jękiem wygłaszane napełniały kaplicę i kościół, i okolice jego nawet. Ja, schylona ciągle i wpatrzona w trzy łzy owe, zaprzysięgałam, ślubiłam sobie, że poprawię się z trzech wad moich, nad którymi może tak samo wielkimi łzami płakała moja matka w tymże czasie: z uporu, przez

który mamie tyle zmartwienia tą pielgrzymką uczyniłam; z braku wytrwania, gdy już wracać chciałam w chwili pożegnania; i z marniej, nikczemnej pychy, przez którą dziwiłam się, że dziewczęta, towarzyszkii mojej podróży, więcej miały delikatności, dobroci i prawdziwego nabożeństwa odemnie...

Nie wiem, jak tam długo klęczałam, płacząc, dopóki Wojciechowa, wzięwszy mnie za rękę, nie wyprowadziła przez ciasne przejścia z tamtąd na świeże powietrze, a potem przez tłumy do domu. Łzy, które mama może za mną wylewała w tejsze samej chwili, stały mi ciągle na oczach.

W trzy dni później, wróciwszy koleją żelazną do Warszawy, wchodząc na próg naszego mieszkania, spotkałam się oko w oko z mamą i padłam jej do nóg, przyrzekając z płaczem, że jej więcej martwić niczem nie będę, że się wyleczę z uporu, z braku wytrwałości i z pychy. Mama podniosła mnie żywo, przełkniona, nie wiedząc, co mi się stało... Wojciechowa dopiero wyjaśniła wszystko i uspokoiła mamę, zapewniając, że podróż poszła jak najszczęśliwiej, że nie stało mi się nic wcale, tylko owszem doznałam tak głębokiego wzruszenia na świętym miejscu, iż wszyscy uznali to za dowód szczególniejszej nademną łaski Bożej, boć skrucha jest łaską nad łaskami...

W kilka dni później, uspokoiwszy się już po mojej pielgrzymce, siedziałam nad robotą przy mamie.

— No powiedzże mi — rzekła mama — cośkolwiek o historycznej przeszłości tej Częstochowy.

Ja zamyśliłam się: w czasie pobytu w Częstochowie byłam istotnie tak wzruszona, że oprócz tego, co działo się w mej duszy, nie czułam i nie widziałam prawie nic; teraz dopiero powstawało w mej wyobraźni to, na co, oprócz samego nabożeństwa i wnętrza kościoła i kaplicy, patrzyły oczy moje i co uszy słyszały. Więc mogłam dużo opowiadać o cudnym widoku, jaki klasztor Jasnogórski i okolica jego, jeden tłumny oboz stanowiąca wtedy, przedstawiały w wigilią i w sam dzień uroczystości, o muzyce uroczystej i o pieśniach brzmiałych w powietrzu; o rzewnym płaczu i głośniejszym modlitwie tego tłumu, który na 300,000 przeszło liczą, a który, nie mieszcząc się w kościele, oblega go i słucha nabożeństwa na zewnątrz odprawianego, wołając dniem i nocą Maryi, swojej królowej; o świetnej illuminacji; o trudności przecisnienia się gdziekolwiek, o trudności w dostaniu wody, i o niezmierniej ilości ubogich u bram klasztornych.

O tém wszystkiém mogłam długo opowiadać, ale o przeszłości historycznej tego miejsca nie wiedziałam dokładnie nic, choć przecież i o Szwedz-

kiem obleżeniu itp. coś wiedziałam, bo któżby znów tego nie wiedział. Więc powiedziała mama:

— Otóż tak się często dzieje, że daleko podróżujący ludzie mniej czasem wiedzą o miejscu swęj wycieczki, niż ci, którzy tam nigdy nie byli. Weźże zatem te oto książki, które tu wybrałam dla ciebie, przeczytaj w nich, co się do Częstochowy odnosi, streść to, i przeczytasz nam to treściwe opowiadanie jutro wieczorem po herbacie, ażeby też i młodsze twoje rodzeństwo dowiedziało się o przeszłości tego słynnego miejsca, do którego pielgrzymkę odprawiałaś.

Uczyliłam co mama kazała, i oto co przeczytałam nazajutrz moim siostronom:

Dnia 6 Sierpnia 1382 r. Władysław książę Opolski, założywszy klasztor i kościół na Jasnej Górze w Częstochowie i osadziwszy w nim zakonników zgromadzenia św. Pawła, umieścił w tymże kościele obraz Bogarodzicy z dzieciątkiem Jezus na ręku. Od tego czasu upłynęło pięć wieków, którą to rocznicę uroczyste obchodzono dnia 8-go Września, w święto uważane za najuroczystsze ze świąt Matki Boskiej, ponieważ w tymże dniu roku 1717 obraz Bogarodzicy tutejszy koronowanym był za rządów papieża Klemensa XI. Obraz ten ma być wedle podania malowanym przez św. Łukasza, za życia jeszcze Matki Boskiej. Jest podanie, że miał obraz ten przez lat 300 pozostawać w Jeruzalem, przez 500 w Konstantynopolu, przez 500 na Rusi w zamku Bełzkim i ztamtąd sprowadził go Władysław Opolski na Jasną Górę. Roku 1630 rozbójnicy napadli na klasztor, zrabowali go i obraz porwali, lecz nie mogąc go unieść z sobą, porabiali i rzucili na drodze, o czém są różne legendy. Roku 1655 miało miejsce sławne oblężenie Częstochowy przez Szwedów; a później były jeszcze dwa szwedzkie oblężenia, gdy Karol szwedzki XII napadł na Polskę. Następnie klasztor jeszcze jedno wytrzymał oblężenie, gdy zamknęli się w nim Konfederaci Barscy za czasów Stanisława Poniatowskiego, i ostatnie przeciw austriackim wojskom r. 1809. Była to warownia silna i dała tego dowody, a miała też szczęście do dzielnych dowódców. Roku 1815 przestała być warownią; odjęto jęj środki obrony, tylko sława jęj pozostała na wieki.

Niektórzy utrzymują, że żadne miejsce uświęcone na świecie nie widuje równie licznych tłumów pobożnych, jak Częstochowa. Królowie polscy otaczali zawsze szczególną opieką kościół i klasztor Częstochowski, odbywali doń pielgrzymki, stali i składali bogate wota i dary; królowa Jadwiga pracowała dlań własnymi rękami, o czém świadczą do dzisiaj w skarbcu zachowane jęj ro-

boty, istotnie piękne ornaty. Brali też tam królowie śluby. Jan III Sobieski był tam na modlitwie idąc pod Wiedeń.

SPEŁNIONE ŚLUBY.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,
przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

Dwaj walczący, usunąwszy się trochę, spotkali się znowu; przewracani młodzieńcy wstawali właśnie z ziemi, inni zaś gromadnie szli, aby zająć z tyłu Hastingsowi i bodaj siłą przeszkodzić nierównęj walce, gdy nagle, prawie niewiedzieć jakim sposobem, walka ta skończyła się najniespodziewaniej. Hastings, tęgi i krępy, z rozbityą głową, krwią zalany leżał na piasku, a młodziutki i szczupły jego przeciwnik stał nad nim, z kijem swym zakrwawionym podniesionym na ramię i patrzył dziwnie ponuro na powalonego nieprzyjaciela. Huczny, radosny okrzyk powitał to nieoczekiwane zwycięstwo dzieciennego jeszcze prawie chłopczyny nad pysznym i silnym przeciwnikiem.

— Nieszczęście! — jęknął tymczasem zwycięzca, opuszczając bezsilnie kij swój i załamując ręce nad omdlałym nieprzyjacielem. — Nieszczęście! nie mogę go zabić! jakże będę śmiał spojrzeć w oczy ślubnemu bratu memu, spotkawszy go poza grobem, kiedy go nie mogę pomścić na tym szalbierzu, jak to jest świętą moją powinnością!

— Nie możesz! A to czemu? — pytali towarzysze — uderz jeszcze raz tym kijem, którym machasz tak dzielnie, i już dopelnisz braterskiego obowiązku pomsty.

— Ależ jest omdlony! czyliż pomsta nad bezbronnym będzie godnem zadosyćuczynieniem dla cieniów mego brata?

— Prawda! prawda! — przyznali młodzi towarzysze — nie możesz go zabić teraz, musisz poczekać, aż będzie mógł znowu stanąć z tobą do walki. Ale wiesz co? oto pójdźmy od niego, zostawmy go tak krwią broczącego na piasku, może sam zamrze z rany, którą mu zadałeś; wtedy obowiązek twój dopelniony będzie.

— Poczekacie na te gody!... — mruknął twardego życia Hastings, budząc się z chwilowego omdlenia i mieczem, którego nie wypuścił z dłoni, płał na prawo na ślepo, ale tak niespodzianie swego przeciwnika, gdy ten już odchodził odeń z innymi, że omal nie uciął mu prawej ręki powyżej dłoni. Sam z trudem się dźwignął, podnosząc głowę bezwładną prawie, bo ciężko zranioną,

ale mimo to wieczny jego drwiący uśmiech wykrzywił mu znowu usta, gdy mówił do przeciwnika:

— A co? spodziewam się, że może będziesz tak dobry i pofolgujesz twój pomście na czas niejaki, dopóki ręką nie będziesz mógł ruszać?... he?...

— Tak, dopóki nie będę ręką mógł ruszać, albo dopóki drugą walczyć się nie nauczę — spokojnie odpowiedział raniony podstępem chłopak i tamował jak mógł i umiał krew z rany płynącą.

Nie zważano prawie na niego, bo w wojowniczym Normandów narodzie pospolitem było to, co on mówił i czynił, ale za to Hastings obcy, dziwny jakiś i nepospolity ze swym drwiącym uśmiechem i podstępny charakterem, a przytém silny i dzielny prawdziwie, budził podziw i grozę zarazem wśród młodych wygnańców już od chwili ukazania się swego. Waleczność jest pierwszą cnotą i pierwszym przymiotem u wojowniczych ludów. To też, mimo wstrętu, jaki w pierwszej chwili do Hastingsa uczuto, przecież na widok ostatniego ciosu, którym tenże oddał za swoje przeciwnikowi, ktoś jeden i drugi z gromadki wygnańców wykrzyknął niechęcący:

— Sprawny urwis! Dzielny! Chwat!

Gdy zaś ujrano jak za pomocą mułu, śliny i własnych długich włosów, zatamował krew, zasklepiając niejako ranę zlepionemi na nią włosami i mimo téj rany, którą sądzono śmiertelną, z roztrzaskaną prawie głową wstał przecież z mieczem w dłoni, wtedy podziw, graniczący z uwielbieniem, przeważał wszystkie inne uczucia i szalony okrzyk:

— Górą Hastings! — rozległ się na wybrzeżu.

W téj chwili usposobienie ogólne zmieniło się, jak kierunek chorągiewki na dachu. Hastings siadł na odłamie skały, młodzieńcy posiadali także, i swobodna, przyjacielska gawęda zajęła miejsce poprzedniej nienawiści. Nie było w tém nic dziwnego, owszem, najczęściej u Normandów wojenne i junackie braterstwa poczynają się od wrogiéj walki, po której, poznawszy dzielność swą wzajemnie, wojacy uczuwali dopiero dla siebie wzajemny szacunek i dozgonną przyjaźń.

— Kto wy jesteście i czego płakaliście tak niedołącznie, jak dzieci, gdy was ujrzałem? — zapytał tedy Hastings swych nowych przyjaciół.

— Jesteśmy Normandami — odpowiedzieli — wedle naszych starych zwyczajów losem skazanymi na szukanie sobie sposobu do życia na morzach i lądach, poza granicami naszej ojczyzny, która nie może wyżywić nadmiaru ludności; tak dzieje się u nas z młodzieżą co lat pięć. Płakaliśmy, bo niemoże być, aby ten głaz nawet nie cierpiał, gdyby go wicher oderwał od téj rodzinnej skały i zaniósł na drugi koniec świata na zawsze...

Słowa te z głębokim uczuciem wymówił jeden

z najstarszych chłopców, a wszyscy inni przytwierdzili jego mowie ciężkim westchnieniem. Hastings ranny był tak mocno, że mimo umyślnego lekceważenia swéj rany, z którym się popisywał, musiał przecież udartą z odzienia szmatką głowę obwiązać, opatrzywszy ją porządniej, a nawet i włosy w miejscu ranioném wyciąć pozwolić, co niezmiernie było ważne, bo nosił je, tak samo jak młodzieńcy normandzcy, długie i starannie utrefione, i wielką jak i oni do téj ozdoby przywiązywał wagę. Gorączka w skutek rany głębokiej zaczynała go już opanowywać i sił mu napózór brakło, bo krwi dużo utracił, ale widocznie było, że postanowił nie dać się zmódz cierpieniu, jak wprzód się przeciwnikowi zwyciężyć nie dawał. Siedział prosto na głazie, wsparty plecami o odłam skały, i na ostatnie wygnańców słowa i westchnienia, parsknął złośliwym śmiechem, po swojemu, mówiąc:

— O dzieciuchy! żaden z was nic nie stracił, ponieważ nic nie miał; za wami nic, a przed wami świat cały! i wy płaczecie! Za czém? Czego? A cóżbyście na mojem miejscu robili? Wszak wiecie już, czém byłem i wiedzieć musicie, bo głośnie to było w około, dla czego być tém, czém byłem, przestałem; wiecie, co stało się z nieszczęsnym rodem Popielów kruszwickich. Jam jeden przypadkiem uszedł zagłady, bo jako młodszy i mniej uważany przez ojca, hasałem właśnie poza zamkiem daleko na igraszkach młodzieńczych, gdy nieszczęście padło na rodzinę. W jednéj chwili z książęcego syna zostałem nędznym bezdomnym tułaczem; nawet towarzysze moich igraszek odwrócili się ode mnie, bo nigdy Polanie nie byli przywiązani do silnego sercem wojowniczym Popielowego rodu. Śmiano mi nawet przypomnieć jakąś igraszkę drobną z pewnym podróżnym, nazwiskiem Ansgar i upatrywano w nieszczęściu naszym niby pomstę niebios, za niegościnnosć względem owego włóczęgi; oprócz innych win nam zarzuconych. Płatnięciem miecza odpowiedziałem temu, który mi o tém i czémś jeszcze, o jakimś ukorzeniu się niebiosom gawędził, i skoczyłem w czołno najbliższe. Patrzyli za mną całą gromadą z brzegów, ale nikt nie ścigał. Wiślane fale zanosły mię na przeciwległy brzeg tego morza, alem i tam się nie czuł bezpieczny, bo dużo nieprzyjaciół wśród sąsiadów i krewnych miała Popielowa potęga. Więc na pierwszym statku obcym, który przybił do brzegu, skryłem się, w nocy doń wpelzwszy i dopiero na pełnem morzu z kryjówki wśród beczek wyjrzałem. Ludzie na statku, zobaczywszy mię, wyrzucili na to wybrzeże, i oto jestem, i żyjąc tu, parę razy już lody tworzące się i topniejące widziałem. Taka przeszłość, taka dola moja, porównajcie ją z wa-

sza, o rozplakane niemowlęta, i patrzcie, czyliż ja płaczę!

Wyprostował się Hastings przy ostatnich słowach i spojrzał po słuchaczach tak dumnie i butnie, że nowy okrzyk mimowolnego uwielbienia zabrzmiał dlań z młodzieńczych piersi, skorych do podziwienia dzielności i tego, co młodzież za dzielność uważa.

— Ale jakże ty żyjesz? Zkąd masz żywność? — spytano go po chwili, gdy wybuch zapалу przeminął. — Czy ryby łowisz? Czy polujesz? lecz zwierza tu mało i ptactwa. Naucz nas swoich sposobów, bo myśmy próżno o tём myśleli i chyba czekać nam trzeba na statki jakie, których dowódcy chcieliby nas nając na służbę. Powiedźże, jak ty sobie radzisz?

Hastings spojrzał po pytających drwiącém spojrzeniem i rzekł:

— Zgadliście, łowią ryby; ale to nędza, bo sam jeden, bez łodzi, bez potrzebnych przyborów, mąleństwa tylko łowić mogę, jednakże i tak daję sobie rady, jak widzicie. Ale gdybyście chcieli mi pomagać, gdybyście pożyczili waszych mnogich rąk mojej głowie, która podobno lepiej od waszych wszystkich radzić umie, to łowilibyśmy ryby wielkie i zaręczam was, że w krótkim czasie mielibyśmy łodzie, na których możnaby popłynąć na szerokie morze, już ja wiem gdzie, a tam zawojowalibyśmy całe bogate kraje i posiadlibyśmy takie dostatki, jakich bogowie sami nie mają!

— To dobrze! to zróbmy tak! — zawołała młodzieńcza gromadka — naucz nas, jak łowić ryby wielkie, my z głębi kraju nie umiemy tego.

— I owszem — rzekł Hastings — właśnie, gdyście tu przyszli, ja czatowałem na rybę po mojemu; wszystko mam przygotowane tak, że chociaż teraz trochę słaby jestem, to przecież już ona się złowi. Rozbiegnijcie się i ukryjcie wśród skał tu od zachodu, i cicho siedźcie, bo od wschodu przyjdzie ryba; ale powtarzam, cicho siedźcie, co bądź byście widzieli!...

Młodzieńcy posłuchali natychmiast tego, który tak jakby niechcący do dowództwa nad nimi przychodził, rozbiegli się i poukrywali wśród skał po prawej stronie małej zatoki, naokoło tego miejsca, gdzie Hastingsa leżącego na futrach ujrzeni po raz pierwszy. Wtedy też dopiero, patrząc z owej strony, spostrzegli oni sporą łódź, mocną, doskonale opatrzoną w żagiel i wiosła, stojącą i jakby ukrytą w małej zatoce, w głębokim załomie skał nadbrzeżnych. Gdy się jęj przypatrywali, myśląc, czyliby do Hastingsa należeć miała, on tymczasem wszedł w nią i na dnie jęj coś tam poprawiał, a potem bacznie popatrzywszy na słońce, rzekł:

— Ryba moja przyjdzie dopiero o samym za-

chodzi; mamy czas jeszcze się posilić. Gdy krzyknę jak mewa, wtedy baczność!...

I to rzekłszy, legł napowrót za złomami skały, na futrzanym płaszczu, a z torby myśliwskiej wyjąwszy kawał starego, aż poczerniałego suchara i ryby solonej kawał, począł jeść spokojnie. Normandowie, widząc to, dopiero uczuli głód przykry, o którym zapomnieli wśród wzruszeń dotychczasowych. Jeden, drugi i dziesiąty, sięgnęli zatem do podróżnych, skromnych zapasów, a lzy ukazały się znów na oczach, bo te zapasy były rękami matek przyrządzane po raz ostatni dla synów w tём życiu...

Smutek brał górę nawet nad młodością i potrzebą posiłku; wygnańcy dumali, patrząc z kryjówek na szerokie morze, gdy niezbyt głośny, ale przenikliwy krzyk morskiego ptaka, zwrócił ich uwagę. Był on tak doskonale naśladowany, że gdyby nie byli uprzedzeni i nie widzieli Hastingsa, przykładającego do ust i odejmującego palce sztucznie złożone, byliby uwierzyli, że ptaka usłyszeli. Przekonawszy się przecież, że to Hastings dawał im znak umówiony, młodzieńcy pozostali bez ruchu, wedle jego rozkazów, śledząc tylko bacznie powierzchnią morza. Ale na morzu nic się nie ukazywało, a Hastings nawet patrzył, nie w stronę morza, lecz w przeciwną. Śledząc też za kierunkiem jego spojrzeń, Normandowie spostrzegli dopiero z zapowiedzianej strony gromadkę zbliżających się z głębi kraju ludzi, którzy czatujących widzieć nie mogli.

— Ot masz! ci przechodnie gotowi spłoszyć nam rybę, która musi być bardzo mądra i do spłoszenia łatwą, skoro nakazano nam tak się starannie przed nią ukrywać.

Tak myśleli sobie czatujący. A tymczasem nowi przybysze zbliżyli się i poczęli składać w łódź przydźwigane ze sobą paczki jakieś i paki drewniane, starannie zamknięte. Upakowawszy wszystko dokładnie, przybysze wskoczyli w łódź i śpiesznie odbili od brzegu. Ale zaledwie wypłynęli z zatoki, okrzyk przerażenia dał się słyszeć wśród nich i czatujący na ryby spostrzegli gwałtowne jakieś zamieszanie w łodzi. Łódź przestała płynąć, chwiejąc się tylko i dziwnie kręcąc na falach przez chwilę, aż nagle zakręciwszy się raz jeszcze, poszła jak kamień na dno... Hastings wstał i Normandowie zerwali się z ukrycia, wołając:

— Pomocy! pomocy trzeba tym ludziom, bo zamiast ratować siebie, oni szaleńcy paczki swoje ratują!

I chcieli biedza na pomoc rozbitkom, gdy Hastings wstrzymał ich rozkazującym skinieniem i pytaniem: jak chcą ratować tonących, nie mają

łodzi ani wiosła?... Ci łopcy zawahali się, powstrzymanym w pierwszym pociągłym zapędzie...

— Ech — zawołał jeden po chwili — oni przecież pływać umieją, tylko sobie dać rady nie mogą z temi pakami, za któremi gonią po morzu; dośby sznur ot temu najbliższemu rzucić, albo popłynąć ze sznurem do tamtych dalszych, a wszyscyby się uratowali. Trzymajcie sznur, ja popłynę!

Mówiąc te słowa odjął sznur, który go w pasie okręcał, a wzięty był jako rzecz potrzebna w podróży, i podawszy jeden koniec towarzyszom, a drugi mając w ręce, miał już rzucić się w fale, a inni tymczasem własne sznury wiązali z pierwszym, aby go przedłużyć, gdy niespodziane uderzenie miecza przecięło sznur... Normandowie zdumieni stanęli jak wryci, patrząc na Hastingsa, którego miecz to uczynił. Hastings tymczasem uważnie patrzył na tonących, którzy jedynie dla tego tonęli, że rozstać się nie chcieli z pakami swemi.

— Oho! tamci już... jeszcze ten... jeszcze tamten... — takie wyrazy wyrwały się z kilkunastu ust naraz i rzucono się znów gromadnie ku miejscu wybrzeża, gdzie jeden z rozbitków, dopłynąwszy z paką w ramionach, ostatnimi siłami starał się brzegu uczepić. Kilkanaście rąk wyciągnęło się ku niemu, gdy siłne uderzenie miecza pozbawiło go przytomności, a fala w tejże chwili odrzuciła go i pochłonęła. Uderzenie miecza pochodziło znowu z rąk Hastingsa. Ostatni z rozbitków znikł pod falami.

Normandowie opuścili ręce, patrząc z osłupieniem na Popielowego syna. On, ciągle z drwiącym na ustach uśmiechem, patrzył na morze nieruchomy, dopóki z chwilą przypływu pierwsza wzburzona fala nie rzuciła mu pod nogi kilku owych paczek, które rozbitki ratowali tak usilnie. Wtedy Hastings powiódł spojrzeniem po towarzyszach, mówiąc jakby z pychą jakąś, i wskazując im to, co fala mu do nóg przyniosła:

— Oto moje ryby!.. ja przedziurawiłem dno statku!

Wziął swoją zdobycz i poniósł ją w skalne załomy. Na te jego wyrazy młodzi Normandowie pochylili tylko mimowolnie głowy, jakby chcieli powiedzieć: — Rozumiemy!

W istocie zrozumieli odrazu dokładnie, że Hastings trudnił się rozbojem. A to odkrycie, chociaż niespodziane, mniej ich przecież oburzyło i zdziwiło, niżby sądzić można. bo choć sami, jako młodzi i dotąd w siołach rodzinnych w głębi kraju wychowani, chcieli ratować tonących na widok ich okropnej walki ze śmiercią, to przecież byli oni Normandami, co znaczy narodem nawskróś wojowniczym, barbarzyńskim i pogańskim, i dobrze wiedzieli, że niejedyn ich starszy krewny, brat lub

ojciec, rozbojem na morzach zdobywał ów chleb, po który i ich wygnano z rodzinnych sioł ubogich. Wiedzieli to wszystko, i jako poganie uważali taki sposób do życia za równie dobry, jak każdy inny, a daleko miłszy od spokojnej pracy około roli lub rybołówstwa.

A jednak pierwsze wrażenie przykre było niewymownie. Wszystkie dobre pierwiastki w ich duszach ukryte drżały przez długą chwilę, walcząc z mocą przykładu i rozumowań pogańskich, i pojęć dziko wojowniczych, zanim po namyśle chłopcy normandzcy spojrzeli sobie wzajem w oczy, uznając, że i *ten* sposób do życia równie jest dobry, jak inne... Jeden i drugi podniósł wyrzuconą przez falę zdobycz, i po chwili, wyłowiwszy z fal wszystkie, jakie mogli schwycić, te *ryby*, jak je nazywali, ponieśli je w załomy skał do Hastingsa, uznając go w ten sposób, jakby za jakiegoś zwierzchnika, przed którym w milczeniu pierwszą zdobycz złożyli.

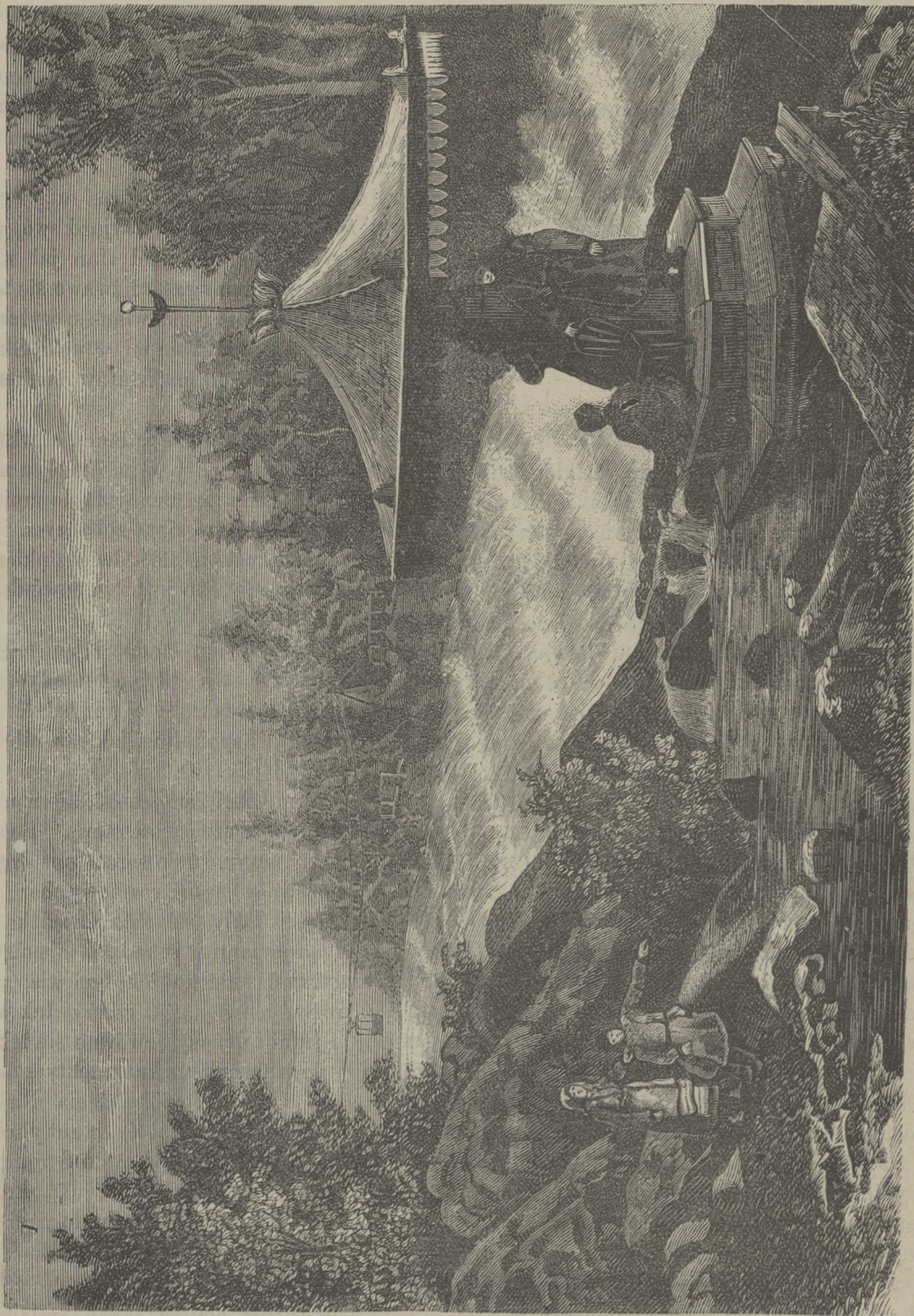
Hastings przyjął ich też z dumną powagą, jakby wódz jaki prawdziwy. Leżał on w naturalnej rozpadlinie skały, stanowiącej niby framugę, otwartą z jednej strony na obszary mórz, ponad któremi umieszczoną była wysoko. Przystęp do tej jaskini trudny był i niebezpieczny, a nawet niepodobna było domyśleć się, że ona tam istniała wysoko, gdyby Hastings umyślnie wobec wszystkich nie poszedł tam ze swemi *rybami*, wskazując drogę w ten sposób.

Widzieli go z dołu, jak trochę chwiejno z powodu skutków zranienia i z ciężarem na ramieniu, szedł przecież coraz wyżej po urwiskach i krawędziach skał, gdzie z pozoru orły tylko przechadzałyby się mogły. Poszedłszy zatem tym śladem, trafili dopiero z trudem do jego jaskini. Była ona obszerną i widocznie oddawna już *urządzoną* pod pewnym względem na mieszkanie. Urządzenie to wszakże nie zdradzało żadnych usiłowań ochronienia się od zimna i słoty, a za to znać było pewne nawyknięcia do okazałości. I tak, jak już wiemy, była to jaskinia zupełnie otwarta całą jedną swą stroną na morze, u stóp jej huczące, na wichry i burze północnego Bałtyku. Otóż jej mieszkaniem ani pomyślał, aby ją z tej jedynej rozwartej strony zasłonić, coby mu łatwo przyszło uczynić skórąmi dzikich zwierząt, jakich miał pod dostatkiem; on zostawił ją otwartą na wichry, jak ją przyroda utworzyła, a za to najpyszniejszymi futrami białych niedźwiedzi północnych, miękkimi jak puch, wysłał zewsząd całe jej wnętrze, tak prawie, jak dziś jubiler białym aksamitem wyścieła pudełko do najkosztowniejszych klejnotów. Podłoga, sklepienie i trzy ściany poszarpanej ska-

ły, zakryte były wszędzie białym puchem niedźwiedziego futra.

W głębi, przy ścianie, syn książęcy, dziki, okrutny, dzielny, i pyszny zarazem, tak, jak orły

skór sobolich; nakrycie olbrzymie, godne królewskiego łoża. Na tém sobolowém posłaniu, pod taką samą kołdrą sobolową, leżał ranny Hastings. Ogromna moc broni, mieczów, nożów, toporów,



Kaskada Imatn (str. 650).

bywają, orlim sposobem usłał też legowisko swoje, swoje łożę książęce. Był to olbrzymi stos suchych traw morskich miękkich i sprężystych, a na niém, źle spojone, ale przepyszne, bogate nakrycie ze

i łuków, a nawet i proc zupełnie pierwotnych, za-
legała ściany, tonąc w białym puchu niedźwiedzim. Szum morskiej fali, krzyk morskiego ptactwa i szelest skrzydeł orla, szybującego ponad skałami

był tu kapelą, godnie zastępującą książęce płatne kapele i Hastings zdawał się z lubością przysłuchiwać tym głosom przyrody w chwili, gdy młodzi Normandowie weszli do jaskini. Przed nim, u stóp łoża, stały dwie jego świeżo złowione *ryby*, to jest paki już rozbite, a w nich przez rozbite dna błyszczał kruszec...

— Dobrze, chłopcy! postawcie tu... i rozbijcie to... — rzekł leżący Hastings takim tonem, jak jego ojciec, rozkazujący niegdyś dworakom swym w kruszwickim zamku.

(D. c. n.).

KASKADA IMATRY.

DZIWNA HISTORIA.

Ze stariej księgi wypisana.

Na dwudziestej piątej stronicy wielkiej Księgi, zapisanej ręką mego pradziadka, taka stoi opowieść, zatytułowana jako: „Dziwna historia”.

„Tak tedy wśród nieczynności onej podróży, że to aż mory człowieka z nudów brały, przywlekli my się przecież jakoś koło 7-go Sierpnia pod Rewel. O ćwierć bez mała mili od Rewla, król Jan szwedzki zajechał z pokaźnym dosyć orszakiem drogę naszemu panu Zygmunutowi, i rzewne odbywały się tam na drodze uściski a witania pomiędzy ojcem i synem. Potem targ tam był o to, że każdy z nich drugiemu chciał pierwszeństwo wkażdziej rzeczy i prawą rękę w jechaniu zostawić; król Jan, iż uważał syna jako gościa, a król Zygmunt z uniżoności synowskięj.

Nie mam ja tam, jako i wielu i wszyscy bez mała, wielkiej dla naszego miłościwego pana miłości, a no sprawiedliwość wyznać każe, iż zacny jest z niego syn. I gdyby takim był dobrym a przywiązanym Rzeczypospolitej ojcem, jakim ojcu swemu synem jest, toczy nie przeciw niemu rzecz nie było. A no, wiadomo, iż nie tak jest.

Wjchawszy do miasta i zamku, szli my za królami na zamek, wśród okrzyków obojga narodów, a potem witali: król nasz królową Ganillę Bielkę, swoją macochę, królowna Anna ojca. Potem przedstawieni byli senatorowie i rycerstwo polskie, a pan podkanclerzy witał on szwedzki majestat od senatu, i listy od niektórych panów polskich oddał. Pan Ostroróg zaś mówił od Rycerstwa, i od hetmana Zamojskiego oddał królowi szwedzkiemu tarczę z czystego złota ulaną, buławę, kołczan ze strzałami, i trzech więźniów tatarskich. Król Jan sam odpowiadał, w żywych wy-

razach oświadczając wdzięczność swoją dla przytomnych i całego narodu polskiego.

Potem król Jan gościł nas i podejmował; a to już sam słyszałem, jak donieśli marszałkowi dworu szwedzkiemu, że dwa woły na dzień nie wystarczą na dworzan samego księcia Radziwiłła, a on marszałek na to:

— To niechże mu jeszcze dodadzą dwie kozy!

Nazajutrz zaraz, gdy na pięknej uczcie król Jan syna traktuje, robi się tertes, bo przybywa goniec od pana Zamojskiego, z doniesieniem o Tatarach i Turkach i o spustoszeniu Rusi. Porwał się król Zygmunt od stołu *) i wraz radę z przytomnymi złożówszy senatorami, wyjazd swój na dzień 26 oznaczył. Nuż tedy król Jan jął na różne sposoby syna zatrzymywać, i żwawo się tam między królem i panami rozmawiano u wyższych stołów. A tymczasem rzeknie mi w ucho Strom, co wraz ze mną zdala od majestatów siedział wśród innych:

— No no, będzie dużo gadania, a wkrótce zobaczysz, że posiedzicie wy tu na dłużej u nas, więc się nie spieraj, jeno ze mną jedź do mnie; przetrzęsę się, kawałek świata zobaczysz, i na czas tu jeszcze przed królewskim odwiedzinami wrócimy. Słuchaj ty mię, bo ja tobie powiadam, że tu tylko nudota i tyle.

Tak mówił Strom, namawiając mię na wycieczkę. Był zaś ten Strom młody szlachcic z Finlandyi, żwawy taki, że ci ani ustał, ani usiedziało jednej chwili spokojnie, jak raz niby bieżąca woda.

Ja z razu nie chciałem jechać, ale wprędce namyśliłem się, że tamten miał rację. Boć nikomu tam nie mogły przypaść do serca one częste a tajemne zamykania się na rozmowy bez świadków ojca z synem. Tedy szlachta szwedzka dawając też z naszymi panami w schadzki tajemne a narady się zabawiać. Bógże ich tam wie, o co szły narady; różnie mówiono; a rzeczy tak stały, że panowie i jedni i drudzy zarówno się lękali, aby królowie nie zabrnęli w konszachty z Rakuzkim domem, na rzecz Arcy-książęcia Rakuzkiego, Ernesta. Bąkano, że król Zygmunt chce korony jemu ustąpić. Więc rzeknę ja do Stroma:

— Targują tam widzę a targują, królowie ze sobą, a pany ze sobą, a my chudo-pacholki młodzi gawronim się jeno i tyle; to już lepiej jedźmy jakoś rzekł.

— A przecieżeś mądrze zagadał—powie Strom — obejdą się tu bez nas, boć nie myślą podobno nas o radę pytać.

— Jużci nie myślą — rzeknę — a no nie wie-

*) Niemcewicz. Dzieje Zygmunta III.

dzą, że gotową mam i dobrą, boć w samego pana Zamoyskiego rozumie a słowie ma początek.

— A cóż to takiego powiedział ten wasz mądry Zamoyski? — pyta Strom, bo on wszystko rad był wiedzieć.

— Powiedział, że najlepiejby pono było, gdyby król Zygmunt oddał narodowi koronę, z której nierad jest niby, a już naród radę sobie bez niego da, jako dał bez króla Henryka Francuza.

Tak ja powiedziałem, a Strom na to palcem czoło poskrobał i powiedział, przekręcając w najkrotochwilniejszy sposób nasz język, bo go źle umiał:

— Hm, hm, nie miła ofiara komu, to pójdź ty ciele do domu, mądre jest to wasze przysłowie i mądry jest wasz pan Zamoyski, i ty bracie, kiedy jesteś tegoż samego zdania; ale, ponieważ tu się na twojej ani na mojej mądrości nie znają, i nie zapraszają nas na senatorskie tajne narady, to i my o nich nie dbajmy, i jazda!

Jakoż, opowiedziawszy się komu należało, on swoim, ja swoim, popłynęliśmy. Morze tam nie szerokie, więc nie mieszkając stanęliśmy w Sweaborgu, a ztamtąd, podróżując zbrojno lecz swobodnie, a rozglądając się po świecie, dostaliśmy się do ojcowizny Stroma. Było to nieduże, niby fortuna szlachecka, ale były ryby, grzyby, zwierzyzna, i kilku miłych sąsiadów; przypadliśmy sobie do serca, czas leciał jak strzała.

— Ej, bracie wracajmy! nuż nas tam obowiązki wołają! — mówię ja raz i drugi do Stroma, a on zbywa, jeszcze i jeszcze, aż raz rzecze:

— Kiedy ci tak pilno, to pójdźmyż do stariej Vendy u Imatry, to się dowiemy na pewno, co się tam w tej chwili dzieje w Rewlu.

— Venda? u Imatry? powie co się dzieje o tyle mil? a jakże ona to zgadnie?—wypytuje ja, i dowiaduję się od słowa do słowa, że Venda jest stara niewiasta, umiejąca zgadywać, co się dzieje w odległości, że Imatra jest to piękny wodospad w niewielkiem oddaleniu.

— Boże mię broń! — rzeknę — nie pójdę tam, raczej do Rewla, choć dobrze mi tu z wami, bracia, ale nie wiem ja nic do czynienia z czarownicami.

— Bajki to są, co mówisz — powie Strom — i wcale inaczej na rzeczy takowe zapatrujemy się my tutaj, jak wy tam u was: nie są to wcale żadne czary, tylko tak jest, że bywają na świecie ludzie widzący w odległości, i tyle. Tacy są i w Norweskich górach i w kraju tamtym, co się zowie Szkocya, zatem jedźmy, niech powie tobie, co się w Rewlu dzieje, to spokojnie jeszcze tu jakiś czas zabawimy.

Zatem zabraliśmy się wszyscy i pojechali do

owej stariej Vendy. Nie było to daleko, okolica dzika, wodospad szumny. Baba gadała innym na ich pytania to i owo, wprowadziwszy nas po głazach prawie w pośrodek wodospadu, aż na pytanie moje, co się dzieje w Rewlu, obróciła się ona plecami do oniej strony, gdzie był Rewel, a zaś popatrzywszy małą chwilę przed się, rzecze:

„O! leć ci tam rycerskie chorągwie do zamku! o! leć ci!...”

Na te słowa Vendy owej tak mi się serce w piersi rzuciło, jakby wyskoczyć miało i włosy mi stanęły na głowie, bobym był przysiągł, że straszego coś stało się w Rewlu, i czułem zupełnie tak, jakbym był z pod chorągwi haniebnie ubiegł... Do Rewla! do Rewla! jęczało mi w duszy i pędziłem do tego Rewla, pojąc nie mogąc, jakim sposobem mogłem zeń ze stanowiska, od obowiązku mego szlacheckiego, tak lekkomyślnie odbiedź.

A było to już blisko miesiąc od owego czasu. Wpadamy do miasta i dowiadujemy się, że król Zygmunt jest jeszcze, ale jak raz nazajutrz ma wyjeżdżać. Tedy odetchnąłem, zameldowawszy się komu należało. Odetchnąwszy zaś, rozpocząłem pytać oględnie, azali tam zajścia jakowego z chorągwami nie było? i ot dowiaduję się, że gdy nie można było dać rady z królami, którzy chcieli razem do Szwecyi wracać, wtedy panowie szwedzcy podmówili milicyą, która też przyszedłszy do zamku, złożyła *chorągwie* i broń, oświadczając, że służyć nie będzie, jeżeli król Zygmunt do Szwecyi powróci, powrót ten bowiem wiele złego na królestwo sprowadzi.

Zatém pokazało się, że prawdę o chorągwiach ona Venda mówiła, i chyba, że to tam czary były w dziwniej tej z chorągwami historii. Nazajutrz wyjechaliśmy z powrotem do Polski.”

Tu się kończy „dziwna historia“ mego prapradziadka o której nie wiedziałem co myśleć, dopóki nie znalazłem w tej samej księdze, ale już przy końcu, pod datą o trzydzieści lat późniejszą, takię wzmianki:

„Dziś, 20 Maja, otrzymałem przez pana Wojnickiego, powracającego z Finlandyi, list od niejakiego szlachcica, nazwiskiem Strom, w którego dworcu gościłem tam kiedyś w młodych mych latach. W liście onym Strom ów powiada, jako czując się starym i śmierci blizkim, i dla tego załatwiając sprawy swe na tym świecie, prosi on mię o przebaczenie za niepocziwy figiel młodzieńczy, gdy chcąc mię w gościnie dłużej zatrzymać, *okłamał* mię, podmówisz starą swą niańkę, iżby niby jako w dalekości widząca, nagała mi, iż królowie pięknie a spokojnie bawią się wojennemi manewrami w Rewlu, a przeto i my możemy spokojnie bawić się jeszcze w Finlandyi.

A no niewiasta owa powiedziała oną rzecz tak niezręcznie, że przestraszyła mię, miasto uspokoić, i prędzej jeszcze do obowiązku pośpieszyłem, niż bym był śpieszył bez owego kłamstwa, za które najmniejszego żalu do onego gościnnego a pocztowego Szweda nie mam, i owszem, bom właśnie tēm śpieszniej do obowiązku wrócił“.

Takie znalazłem wytłomaczenie „Dziwnęj historyi“ mego prapradziadka, która w istocie jest dziwną i uwagi godną, ale z tego jedynie względu, że w niej uczciwy człowiek przeprasza drugiego za kłamstwo, przed *trzydziestu* laty z nadmiaru gościnności jedynie popełnione, i które żadnej nikomu nie przyniosło szkody, a okoliczność ta daje nam miarę *poszanowania prawdy* u dawnych uczciwych ludzi.

Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

— Marku, podziękuj Bogu, że cię postawił na naszej drodze. Przyszłość twoja jest zapewniona. Nie potrzebujesz już śpiewać lub tańczyć, dla zapracowania na chleb powszedni, ani być tragarzem w porcie, ani uczyć małpy i papugi, nie będziesz też szukał miejsca chłopca okrętowego, bo my o losie twoim pomyślimy. Tymczasem wypocznij i posil się.

Gdy tych słów domawiał, wchodzili właśnie na próg mieszkania i stół zastali nakryty w izbie jadalnej.

Marek zjadał z wielkim smakiem i opowiadał przygody swojego życia, a dowcipnemi konceptami tak ubawił Jakóba i Roberta, że się pokładali od śmiechu.

— O, moi panowie! — mówił — a toż sam król nie może mieć lepszej pieczeni na stole. A ten jabłecznik, cóż to za delicje! U moich muzykantów nigdy nic nie dawali do picia oprócz wody; dobre to dla żab, ale nie dla porządných ludzi.

Po jedzeniu postawiono przed nim małą porcelanową filiżaneczkę. Jakób wziął imbryk do ręki i nalał mu pół filiżanki czarnego wrzątku.

— A toż co nowego, mój dobry panie? — rzekł malec, wytrzeszczając oczy — czy to ja mam pić ten atrament?

— Spróbuj — rzekł Robert i podał mu kawałek cukru — wrzuć cukier do filiżanki, a jak się rozpuści, zobaczysz, że ten atrament wcale nieźle smakuje.

Marek usłuchał, a gdy przełknął łyżeczkę napoju, zawołał uradowany:

— Wyborne! to musi być prawdziwy paryzki atrament.

A gdy Jakób i Robert zanosili się od śmiechu, on znów, łykając jedną łyżeczkę po drugiej, wołał z różnemi pociesznemi minami:

— A cóż to za przedziwny atrament! Takiego to naprawdę szkoda do pisania.

Gdy się już dosyć naśmieli, Jakób odezwał się w te słowa:

— No, Marku, zostawmy już te żarty, a pogadajmy rozsądniej; posłuchaj mię uważnie.

— Słucham, mój dobry panie.

— Ten młodzieniec, który siedzi przy tobie, drugi jego kolega, bardzo do niego podobny i ja z nimi, wybieramy się za kilka dni w daleką podróż po morzu i po lądzie. Mamy zamiar całą ziemię objechać dokoła. Zajrzymy także po drodze do kraju, gdzie rosną drzewa kawowe, wydające ziarna, z których się robi ten smaczny napój. Czy chciałbyś nam towarzyszyć?

— Czy jabym chciał? O, mój dobry panie! — zawołał Marek w uniesieniu radości — ależ ja gotów jestem w tej chwili wsiadać na okręt i to z wyskokiem.

— Zobaczysz także pola, na których rośnie trzcina cukrowa.

— Trzcina cukrowa? i jabym się miał namyslać?

— Mógłbym ci jeszcze wyliczyć długi registr najrozmaitszych osobliwych roślin, wydających kwiaty niewidzianej piękności i przedziwne owoce, nie licząc już osobliwych ludzi, czarnych, żółtych, miedzianych, zwierząt nadzwyczajnych, ptaków różnobarwnych i dziwnych krajobrazów, olbrzymich gór, dolin malowniczych, lasów niezmiernych, wspaniałych miast i pomników. Rozważ to wszystko w swoim rozumie i powiedz słowo stanowcze.

Generał liliputów zrobił bardzo poważną minę, jak gdyby się rzeczywiście namyslał, a po chwili odezwał się na wpół uroczyście, a na wpół żartobliwie:

— Moi łaskawi panowie, niema tu nad czem głowy łamać. Po pierwsze, nie mam ja do kogo się odwoływać, ani o radę, ani o zezwolenie, więc porozumiewaj się z własną swoją osobą, widzę, że panowie jesteście bardzo zacni i pocztowi, skoro z biednym sierotą tak się dobrze obchodzicie. Powtóre, zabierając mię z sobą na okręt, gdzie będę miał z waszej łaski mieszkanie, opranie i światło, wybawiacie mię z niemałego kłopotu, bo w tej chwili jestem na bruku. Po trzecie, ponieważ w tych krajach zamorskich, do których się dostać

mamy, będę doświadczał przeróżnych przyjemności, obaczę piękne morza, piękne ziemie, wspaniałe miasta, przepyszne lasy, prześliczne ptaki, drapieżnych zwierząt bez liku, a nigdzie nie napotkam muzykantów, którzy mi boki łatali, więc zważywszy to wszystko, przystaję z ochotą i z zapalem.

Jakób nalał trzy kieliszki likworu i wszyscy trzej wypili na zakończenie umowy i na pomyślność zamierzonej wyprawy.

— Marku — rzekł Robert — lubię cię za tę szczerość i wesołe usposobienie. Ja także jestem sierotą i byłbym tak jak ty opuszczonym na świecie, gdyby mój ojciec chrzestny mię nie przybrał za syna. Teraz ja znów ciebie biorę w ojcowską opiekę. Czy się zgadzasz?

— Będę więc miał ojca, o dwa lata tylko starszego od siebie. Można to także zaliczyć do tych wszystkich rzeczy dziwnych i nadzwyczajnych, które mają być moim udziałem. Przybrany synek składa panu najserdeczniejsze i najpokorniejsze dzięki.

W kilka dni później Jakób się dowiedział, że parowiec „Kormoran“, uzbrojony, jak statek wojenny, wybiera się w podróż naokoło świata w celach naukowych, i ma się zatrzymać w porcie St. Malo przed odplynięciem do Afryki.

— Tego nam właśnie potrzeba — rzekł stary majtek.

Nie tracąc więc czasu, porobił kroki potrzebne do zamówienia miejsca na tym okręcie, który mógł jeszcze przyjąć kilku pasażerów. Dawny, zasłużony marynarz nie miał w tém żadnej trudności; nazwisko kapitana, ojca chrzestnego i opiekuna młodego Roberta, dostateczne było zresztą do usunięcia wszelkich przeszkód, wszystko więc załatwiło się bardzo prędko i dzień wyjazdu naznaczono.

Przygotowania do podróży były już ukończone; Marek dostał z łaski swoich opiekunów wspaniałą garderobę, całkowity strój marynarski, spodnie w paski, kurtkę wyszywaną ze złotymi guzikami, ozdobionemi kotwicą, wspaniały pas karmazynowy i ceratowy kapelusz.

— A toż ja teraz będę wyglądał, jak admirał prawdziwy — mówił zadzierając głowę do góry — jeszcze nigdy w życiu nie miałem tak pysznych sukien, chociaż muzykanci niby to pięknie mnie stroili na większe jarmarki. Ale czy to podobieństwo do tego! W takim ubiorze to człowiek i odwagi nabiera i lepszej fantazyi. Ho, ho, nie radzę teraz nikomu wchodzić mi w drogę, nie dam sobie w kaszę napluć.

Robert i Henryk śmieli się serdecznie z tych konceptów i przechwałek chłopaka.

— Poczekaj, poczekaj — mówili do niego —

niechno wypłyniemy na morze, a potem wysiądziemy na ląd w Arabii, w Egipcie, w Persyi, w Indyach; obaczymy, czy zawsze taki zuch będzie z ciebie.

Nadszedł wreszcie dzień oczekiwany. Wszystko było w pogotowiu, przeniesiono pakunki naszych podróżników na okręt i raniuteńko, o świcie, Robert zbudził Marka, wołając:

— Wstawaj, a nie marudź. Henryk już ubrany i czeka nas w przystani.

A gdy malec szybko się zerwał, umył się i ubrał w jedną chwilę, Robert powiedział z uśmiechem:

— Śniadanie dostaniesz na okręcie; będziesz tam codziennie sucharki jadł i dobre placuszki.

— Czy takie, jak w cukierni?

— Może nie zupełnie takie, ale także bardzo dobre.

— Cóż to za szczęście! — wołał chłopak — będę podróżował naokoło świata, zającąc sucharki i placuszki!

— Żwawo, dzieci — odezwał się głos Jakóba — nie marudźcie, łódka czeka w przystani.

II.

Na pokładzie Kormoranu. — Brest. — Roszella. — Żyron-da. — Przylądek Finisterre. — Rzut oka na Hiszpanię. — Gibraltar. — Pomiedzy dwoma lądami. — Alger. — Miasto wschodnie. — Dar Araba. — Poszukiwanie wielbłądów. — Kraina Sahel. — Oaza plemienia Beni-Ussem. — Mustyki. — Szeik Abdallah - Ben - Daud. — Podwieczorek. — Osada arabska. — Lwy i młode lwiąta. — Skargi Marka. — Polowanie na dziki.

Nasi podróżnicy zapoznali się prędko i zaprzyjaźnili z całą załogą okrętową. Nadano im zaraz stosowne marynarskie tytuły, chociaż byli tylko pasażerami.

Jakób, ze względu na dawne swoje zasługi, mianowany był honorowym sternikiem.

Robert, jako chrzestny syn dzielnego kapitana okrętu, otrzymał odrazu stopień podoficera.

Henryk poprzestał na miianie marynarza ochotnika, a Marek jednogłośnie okrzyknięty był majtkiem pierwszej klasy.

Chłopak korzystał z tego, a chociaż nie ulegał żadnej subordynacyi na okręcie, gdyż miejsce jego było także zapłacone, z własnej ochoty drapał się na maszty, zawieszał się na sznurach i we wszystkim nasladował majtków prawdziwych.

Kormoran, piękny statek parowy, do pierwszorzędných zaliczany, wypłynął rażno na pełne morze. Zmierzał on prosto do posiadłości francuzkich w Afryce, miał tam stanąć za dni kilka.

Robert i młody jego przyjaciel Henryk, nie rozczulali się zbyt, opuszczając kraj rodzin-

ny, gdyż od dzieciństwa oswoili się z tą myślą, patrząc na fale oceanu; jednakże, gdy im znikło z przed oczu skaliste wybrzeże, na którym dzieciństwo ich upłynęło, serce młodzieńców ścisnęło się mimowoli. Wzrok ich nie mógł się oderwać od rąbka mgły siniej, który zasłonił przed nimi szczyty wieżyc i baszt wyniosłych, piętrzących się na skale St. Malo. Trudno im to mieć za złe. Na tém wybrzeżu spędzili najszcześniejsze lata, tam doznali tyle miłości od drogich sercu osób, zostawili tam krewnych, przyjaciół, tyle słodkich wspomnień. Nie ręczymy, czy parę łez nawet nie zakręciło się w oczach naszych podróżników. Ale ta chwila słabości nie długo trwała, obaj krzepili się, jak mogli i dodawali sobie odwagi, wreszcie zabawne wybryki Marka odwróciły ich uwagę od tych smutnych myśli i serdecznie się śmiać zaczęli z jego konceptów.

— A co to tam wyłazi z wody, niby góra, niby las? — pytał nasz majtek pierwszej klasy, zaglądając jedném okiem w lunetę kapitana.

— To jest miasto portowe Brest — odpowiedział uprzejmy kapitan.

Wkrótce Kormoran zawinął do tego portu, który jest jednym z najpiękniejszych i najlepiej ufortyfikowanych w całej Francji. Las masztów w przystani, ustawiczny ruch małych parowców i łodzi, brzeg najeżony basztami, wszystko to tworzy widok malowniczy; młodzi nasi podróżni przyglądali mu się z wielkiem zajęciem.

— Mój chrzestny ojciec musiał tu nieraz zarzucać kotwicę, powracając z tryumfem z wojennych swych wypraw — mówił z dumą Robert.

Kormoran chwilę tylko zatrzymał się w Breście, gdzie kapitan miał do załatwienia jakieś formalności, potem z kolei ujrzano z daleka Roszellę, nie zatrzymano się jednak w tym porcie; następnie ujście Żyromy mignęło przed oczyma naszych żeglarzy, parowiec z szybkością strzały pruł sine fale oceanu, okrążył nareszcie przylądek Finisterre.

Wiatr południowy przynosił ciepłe tchnienia rozkosznych klimatów, gdzie wieczna wiosna panuje, woń kwiatów pomarańczowych, aleosów i jaśminów, dolatywała na pokład okrętu, łatwo było poznać, nie zaglądając nawet do mapy geograficznej, że urocza Hiszpania była już niedaleko.

Robert przechadzał się po pomoście, bystry wzrok jego dopatrzył w oddaleniu groźnej, urwistej skały Gibraltaru, na której usadowiła się królowa morza, potężna Anglia, jakby na straży u zbiegu dwóch lądów. Wyobraźnią młodzieniec dalej jeszcze pogonił; w mglistej oddali ukazywały mu się wybrzeża Afryki, której Hiszpania jest

przedsionkiem, marzył o piaskach pustyni, o warokczach wysmukłych drzew palmowych.

Morze dnia tego było spokojne, powierzchnia wód gładka, jak zwierciadło. Lekki tylko wietrzyk odświeżał powietrze. Kormoran unosił się na falach, jak olbrzymi ptak wodny i szybko posuwał się po morzu Śródziemnem. Wkrótce na widnokręgu ukazał się Alger, na szafirowém tle nieba zarysowały się wysmukłe minarety, mury twierdzy i ozdobne budynki miejskie, rozłożone w kształcie amfiteatru.

— Ziemia! ziemia! — wołał majtek, pełniący straż na szczycie masztu.

— Ziemia! ziemia! — powtórzyła cała załoga i wszyscy pasażerowie.

Wystrzał armatni ozwał się z Kormoranu na powitanie téj ziemi, która jest częścią Francji, drugi wystrzał odpowiedział mu z portu, a po téj wymianie wojskowych honorów, okręt zawinął do przystani i zarzucił kotwicę.

Kapitan Kormoran miał polecenie zatrzymać się w porcie algierskim przez cały miesiąc i wysadzić na ląd wszystkich pasażerów, a nawet i część załogi. Jak wspomnieliśmy wyżej, wiozł on wyprawę naukową, złożoną z przyrodników francuzkich, którzy mieli na ziemi afrykańskiej, należąc do Francji, czynić rozmaite poszukiwania i spostrzeżenia geologiczne, botaniczne i mineraliczne.

— Za miesiąc — rzekł kapitan — od dnia dzisiejszego, okręt wypłynie znów na morze, udając się do Oranu i Tunisu, a następnie na wybrzeża Arabii i Egiptu. Przestrzegamy panów pasażerów, aby się stawili w porcie bez najmniejszej zwłoki. Kto się opóźni, sam sobie winę przypisze; Kormoran nie może czekać na nikogo.

— Otóż to właśnie dla nas doskonale się składa — rzekł Jakób sam do siebie — będziemy mieli czas zwiedzić całą Algeryę aż do granic Maroku.

Potem zwracając się do kapitana, dodał głośno:

— Możesz być pewny, kapitanie, że wszyscy czterej stawimy się na dzień naznaczony.

I pożegnawszy się, Jakób wraz z trzema chłopcami ruszył w stronę miasta.

Jakkolwiek Alger, to dawne gniazdo rozbójników morskich, jest już dziś miastem cywilizowanym, francuzkiem, dotąd jednak zachowało wschodnią swoją powierzchowność. Ta cecha odrębna uderza na pierwszy rzut oka przybysza, widoczna jest, i w budynkach, i w strojach mieszkańców, i w zwyczajach.

Nim jeszcze podróżni nasi odeszli od portu, otoczyła ich gromada ludzi z blaszkami miedzianymi na piersiach.

— Czego chcecie? — zapytał Jakób,

— Odnieść rzeczy pańskie do hotelu; jesteśmy tragarze, nie drogo weźmiemy, ceny stałe i co łaska na piwo.

— A to zabawne — rzekł Robert — jesteśmy w Afryce, a ci ludzie zupełnie tak przemawiają, jak na bruku paryżkim.

Jakób kazał tragarzom zabrać pakunki, wyladowane z okrętu, i odnieść je do hotelu, którego adres miał zapisany w pugilaresie.

Słońce zniżało się ku zachodowi, skwar dzienny ustawał już nieco i mieszkańcy miasta wychylali się z domów swoich, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Jedni sadowili się na tarasach, na płaskich dachach urządzonych, drudzy siadali na progach mieszkań. Pomiedzy tymi ostatnimi uwagę naszych podróżnych zwrócił ogromny Arab, z długą brodą, z głową zakapturzoną. Był on podobny nieco do Abd-el-Kadera *), a jak się później dowiedzieli, walczył długo w jego szeregach.

W chwili, gdy mała gromadka przechodziła obok Araba, Marek, który nie mógł się pozbyć nawyknień małych uliczników, zaśmiał się głośno, patrząc mu prosto w oczy i powiedział jakiś żarcik, nie tyle dowcipny co złośliwy. Arab, prowadząc wojnę z Francuzami, wyuczył się ich mowy, spojrzał więc na chłopaka przenikliwym wzrokiem i rzekł spokojnie dobrą francuszczyzną:

— Poczekajno, chłopczyku, mam ci coś powiedzieć.

— Co, do mnie masz interes, panie długobrody? — odparł chłopak niezmieszany.

Trzej towarzysze jego przybliżyli się, słysząc tę rozmowę.

— Posłuchaj mnie — rzekł do małego swawolnika — roztropną masz minkę, ale język trochę za długi. Muszę ci dar ofiarować.

— Dar? ciekawym bardzo jaki.

— Dobrą radę.

Jakób, Robert i Henryk słuchali z wielkim zajęciem.

— Gdy jesteś w podróży, nie naśmiewaj się nigdy z mieszkańców kraju, który zwiedzasz — rzekł Arab.

Potem spojrzał na trzech towarzyszy Marka i dodał:

— Te słowa mają wartość szczerego złota.

I skinął głową poważnie, jak gdyby chciał im dać poznać, że mogą odejść.

Jakóbowi bardzo się ta nauczka podobała.

— Spodziewam się — rzekł — że wszyscy trzej skorzystacie z téj przestrogi.

Słońce zaszło tymczasem i szybko ściemniać się

zaczynało, jak to zawsze bywa w strefach gorących. Przybyli wreszcie do hotelu.

— Nie mogę jednej rzeczy zrozumieć — powiedział Marek, któremu napomnienie Araba nie odebrało dobrego humoru.

— O cóż ci idzie? — zapytał Jakób z uśmiechem.

— To jest doprawdy dziwne i niepojęte — mówił chłopak — ja sądziłem, że jak tylko wysiądę na ziemię afrykańską, zaraz zobaczę wielbłąda. A tymczasem przeszliśmy już kawał drogi, a wielbłąda ani śladu.

— Cierpliwości, mój drogi — rzekł Robert — poczekaj do jutra.

(D. c. n.).

Zadanie konikowe.

ma	po	dněj	lą	braw	snu	łam	nie
tro	ki	śli	łam	ża	za	u	mi
my	rze	jąc	prze	kwia	szy	ły	zna
ska	ski	bo	czo	ga	ster	ta	nia
nia	łza	bie	ki	lu	ło	ski	wa
cór	ły	mne	ze	pa	mię	mie	o
mi	przy	stem	ci	sia	bok	cho	wio
Je	ką	raz	je	wy	chój	dłam	stru

Z a g a d k a.

0	0	0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0	0	0

Z tych 36 zer odjąć 6, ale tak, ażeby w każdym rzędzie, czy to w poziomym, czy pionowym kierunku, pozostała ilość zer parzysta.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Łamigłównki głoskowe:

Mądry Polak po szkodzie.

Łamigłównki w kwadraciku:

K R A*)
R A K
A K R

*) Wódz algierski, który się wstawił, walcząc przez czas długi z Francuzami, w obronie niepodległości swego kraju.

*) W N-rze 39 zaszła pomyłka, miało być nazwa łodu nie ludu.

JUTRO.

SŁOWA LUDWIKA NIEMOJEWSKIEGO,

Muzyka Dominika Stanisława Pawłowskiego.

Contabile.

First system of musical notation for 'Jutro'. It consists of a treble and a bass staff in 3/4 time. The melody is in the treble staff, and the bass staff provides a simple accompaniment. The lyrics are: Ju - tro wy - koń - czę mo - je za - da - nie, Ju - tro prze - pi - szę,

Second system of musical notation. The melody continues in the treble staff. The lyrics are: ju - tro prze - czy - tam Ju - tro grać bę - dę na for - te - pia - nie.

Grave e afflito.

Third system of musical notation. The tempo and mood change to 'Grave e afflito'. The melody is slower and more somber. The lyrics are: Ju - tro o le - key - ą swo - ję za - py - tam, Ju - tro o ju - tro

riten.

Fourth system of musical notation. The tempo changes to 'riten.'. The melody is further slowed down. The lyrics are: ja wszy-stko zro - bię, A dzi - siaj je - szcze od - po - cznę so - bie.

Tak mówią zwykle leniwe dzieci,
Nie pamiętając jak dni tych mało,
Jak prędko zawsze czas ludziom leci,
I jak niewiele chwil im zostało.
Jutro, o jutro... czemuż odkładać?
Dziś twoje, jutro trudno ci zbać.

Co jest, to pewne—co będzie, skryte,
Obecność tylko winna nam służyć,
Dziś może zawsze zostać użyte,
A któż odgadnie jak jutro użyć?
Jutro, o jutro! zawsze wołacie,
A tego jutra wcale nie znacie.

Na każdy dzieńek Bóg trud wydziela,
Dni te się znaczą pracy mozołem,
Do odpoczynku tylko niedziela,
Lub jakie święto czone kościołem,
Jutro, o jutro! tak dni przechodzą,
A z dni miesiące, lata się rodzą.

I życie przejdzie, nadejdą chwile,
W których zapłaczesz łzami rozpacz,
Żeś tyle szczęścia, nadziei tyle,
Nie umiał zrazu ciężć inaczej,
Jutro, o jutro! krzykniesz ze drzeniem,
A jutro wiecznym skryje się cieniem.